Janina Łagoda

Różnorodność w polityce to oczywistość, ale betonowanie własnych osądów i narzucanie ich innym, to zjawisko toksyczne, cechujące osoby z wynaturzonym ego i o uszkodzonej empatii. Natłoku tak niebezpiecznych zjawisk właśnie doświadczamy. Lubimy mieć rację i to rzecz normalna, pod warunkiem, że potrafimy uwzględniać argumenty innych i wyciągać stosowne wnioski, korygując swoje poglądy w ważnych kwestiach. Jest to idealistyczna i zarazem oczywista konstatacja. Dylematy zaczynają się objawiać w chwili, kiedy ta teoretyczna prostota tkwiąca w umysłach racjonalnie myślącego rodaka ma zostać urzeczywistniona.
W tym momencie wyrasta politykierski górotwór nie do sforsowania, a to zapowiedź karkołomnej wspinaczki, jak i wznoszenia barykad, kopania strzeleckich okopów oraz ułańskich bratobójczych szarż na równinach. Kłopot taki, że w tym paradygmacie ginie interes Rzeczpospolitej będący dobrem wspólnym, który z niezrozumiałą zawiścią jest strzępiony wedle partyjnych głosów poparcia. Przyćmienie celu nadrzędnego werbalnym awanturnictwem z jego pokłosiem przywołuje wprost na pamięć Polskę nierządem stojącą, czemu już dawno temu dał wyraz w swojej twórczości Wacław Potocki (1625-1696).

**Niepokój wewnętrzny**

Przaśne pojedynki politycznych formacji zasklepionych w egoizmie wzmacnianym oglądem realiów poprzez końskie okulary, to droga do fałszywych sądów i obskurantyzmu, a w konsekwencji jest prymitywnym sposobem znęcania się nad Ojczyzną. Skutki tego takie, że dziś kraj pogrążył się w politycznej bijatyce, zaś Europa i reszta świata z pobłażaniem na nas spoglądają, a niekiedy podsycają wybuchowe nastroje, jeśli to pozostaje w zgodzie z ich racją stanu. Czy w zawierusze poszatkowanego własnego jestestwa partie są w stanie wspólnie systemowo spojrzeć na interesy Polski, bo przecież każda z nich ma wypisane na sztandarze patriotyzm, ale utopiony w różnych pojęciowych konfiguracjach. Okazuje się, że w praktyce zafundowaliśmy sobie tyle jego odmian, że nie sposób nad nimi zapanować, zaś wybrać z tego konglomeratu ten najbardziej dorodny, to bodaj robota Syzyfa. A przecież chodzi o współczesność i przyszłość.
Gmatwanina w obrębie interpretacji tego, jakże nadużywanego pojęcia najczęściej przerasta asymilacyjne zdolności wielu rodaków i na pewno utrudnia włączanie racjonalnych elementów otoczenia do partyjnych wizji, aby móc z nimi się utożsamiać. Innymi słowy patriotyzm w politykierskim wydaniu trafił na aukcyjną giełdę, miast do narodowej skarbnicy, która winna w rygoryzmie wyznaczać jego parytet. W tym momencie pojawia się kolejny problem. Kto ma nią zarządzać: ci, którzy są przy władzy, ci, którzy w opozycji, ci politycznie obojętni, a może globaliści? Zdaje się, że mamy do czynienia z nierozwiązywalnym równaniem, mimo że wśród nas są zastępy znamienitych matematyków.
Uporczywie wracamy do punktu wyjścia w zabiegach o potęgę Rzeczpospolitej, topiąc się w waśniach. Na pewno zapodział się wektor konsensusu, zaś zgoda deficytem obrasta. Efekt taki, że osłabiając domowe wnętrze zatracamy sterowność, także na międzynarodowym dyplomatycznym oceanie. Historia faktami trzeszczy. Ale czy i tym razem tak być musi? Dopełnianie zbiorników niegodziwości wybuchową mieszaniną jest nie tylko algebraiczną sumą tego piorunującego wsadu, lecz przede wszystkim ważkim argumentem na rzecz postrzegania

państwa w światowym obiegu. Namysł, to walor umysłu i należy z niego garściami korzystać, neutralizując egoizm, przysypując go dobrem ogółu.

**Upiorność politycznej sceny…**

…w rodzimym wydaniu jest złowróżbna. Powstały obozy, które spełniają wszelakie niechlubne cechy sprzyjające pogrążaniu kraju w plebiscycie wolności. Okazuje się, że na ten czas zapodziała się troska o budowanie jedności, a przetarg wygrała opcja specjalizująca się w wznoszeniu bezsensownych frakcyjnych bastionów. Takimi tendencjami należy się zamartwiać, bo niweczą wspólnotowe pragnienia społeczeństwa. Ale - o paradoksie - i ono po części sprzyja takiemu stanowi rzeczy, co okazały wyniki chociażby ostatnich prezydenckich wyborów. Gdzie tego przyczyny? Jedną z istotnych jest zapewne odczuwalny niedosyt rzeczowej refleksji nad wyborczą urną. Górę biorą zaklęcia o jedynej prawdzie objawianej przez rządzących politykierów i kraszenie jej materialnymi zachętami fundowanymi nie z własnych, lecz publicznych pieniędzy, bo sprawowanie władzy stwarza taką pokusę, a jej łatwo ulec. A to już prywata. Ostatnio bodaj olimpijski szczyt w tym partyjnym sobkostwie osiągnął premier rządu swoimi ekspiacjami w stylu: gospodarka w rozkwicie, koronawirus w odwrocie, socjalne złotówkowe wsparcia największe od pokoleń, także dla powiatów, miast, gmin etc., krasząc je kabaretowym rozdawnictwem promes z wirtualnymi złotówkami. Jest to wulgaryzm. W tak ohydnym trybie nie wolno postponować samorządową Polską, bo ona nie jest niczyim dominium.
Chwała burmistrzowi wielkopolskiej Chodzieży i wójtowi Tarnowa Podgórnego, ale i innym również, którzy w podzięce za premierowską fikcję wystawili w podobnej formule nie obietnice, lecz rachunki opiewające na rzeczywiste zobowiązania rządu wobec ich gmin. Każda z faktur przewyższała wirtualny pieniądz rządu. Szkoda, że inni samorządowcy nie poszli tym tropem i ulegli kuglarskiej atmosferze, której jedynym czytelnym wymiarem był wyborczy bajkowy napiwek zafundowany z publicznych pieniędzy przez premiera za głos oddany na jego partyjnego kolegę, ubiegającego się o reelekcję prezydentury z błogosławieństwem rządzącej partii. Istnieje obawa, że ci, którzy przyjęli ów tekturowy grosz w aurze estradowego spektaklu za chwilę mogą się rumienić. Perfidia polega na tym, że stało się to jeszcze przed uchwaleniem ustawy o tzw. funduszach inwestycji lokalnych, a to koresponduje również z brukselską batalią o nowy budżet, także dla Polski.
W poprawnie funkcjonującej administracji wystarczyłoby pismo premiera informującego o pracach nad takim aktem prawnym ze wstępnymi propozycjami rozdziału projektowanego funduszu oraz prośbą o ewentualne merytoryczne uwagi dotyczące formuły korzystania z niego. Niestety, strateg jest tylko jeden, a jego przemyślenia, od których nie ma apelacji, nie zawsze sprzyjają demokracji. Dialog z Nowogrodzką zatem nie wchodzi w grę.

**Rządzący Polską…**

…wykazują zadziwiającą moc w budowaniu bastionów niezgody wedle patentu dyspozytora z Żoliborza, miast się zajmować praktyczną realizacją wznoszenia tanich mieszkań, produkcją samochodów własnej marki z napędem elektrycznym, morskich promów, sadzeniem a nie wycinką drzew, zdrowiem rodaków, żłobkami, przedszkolami, szkolnictwem, nauką etc. Koncepcji silnego państwa nie da się urzeczywistnić bez wyzwolenia powszechnego entuzjazmu w narodzie i stworzenia warunków do jego transmisji na godne czyny. Natomiast

użyźnianie społecznych konfliktów to sabotaż wobec Rzeczpospolitej, także w dyplomatycznym obszarze.
Z drugiej strony nie sposób w takim stylu efektywnie sprawować władzy bez obciążania własnego sumienia. Przeraża gruboskórność i autokratyczne ekspiacje rządzących negujące nawet najbardziej merytoryczne innowacyjne argumenty innych, które mogłyby pozostawać w konflikcie z myślami Nowogrodzkiego guru, bo taki to regulamin jego autorstwa. Syntetycznym dowodem na apodyktyczność rządzących są sejmowe głosowania nad poprawkami zgłaszanymi przez opozycję do projektów ustaw, które niemal z urzędu trafiają do niszczarki, poza symbolicznymi wyrafinowanymi przypadłościami sprzyjającymi rządzącym. Pytanie: czy to jest jeszcze demokracja?
Konfliktowe twierdze wznoszone przez władzę prowokują do budowania, na drodze wzajemności, podobnych instalacji przez opozycję. W takich okolicznościach kordialność jest zawadą. Ambicja to ludzka cecha, ale umiar w jej objawianiu szlachectwem. Znalezienie tkalni narodowej zgody, jest sztuką. W powszechnym obrazie najczęściej rysuje się jako euforyczny gotowiec pojawiający się w momentach tragicznych. Jego skuteczność jest limitowana czasem trwania pozytywnych emocji, a one zazwyczaj są bliskie efemerydzie, co nie wyklucza ich chwilowego skutecznego zagospodarowania. W dziejach kraju wiele takich zdarzeń, które ich nie nobilitują. Klasyką jest chociażby wrzesień 1939 roku; spontaniczność zachowań wobec wroga, w krótkim czasie zastąpiły polityczne swady w okupowanym kraju i na obczyźnie, tak, jakby wspólnego wroga już nie było. Agresor miał powody do satysfakcji, zaś alianci problem. Inny przykład to powszechne poruszenie roku 1989. Euforia w krótkim biegu wróciła w utarte koleiny ambicjonalnego partyjniactwa, gdzie rozsądne przemyślenia swarami zostały rozjechane, a głosy rozsądku stłumione.
Dzisiaj mamy powtórkę tej rodzimej sztampy w stylu licytatorskich detalicznych kombatanckich wersji, których nie sposób przełożyć wprost na istotny udział w pokonaniu komuny. Im dalej od tamtych lat, tym bardziej blednie skuteczność w ustrojowych zmianach ówczesnych konspiratorskich czynów. Wszystko to działo się w obrębie własnego państwa. Jedni budowali, inni zaś kwestionowali. Ale i wielu z nich aktywnie uczestniczyło w propaństwowych czynach. Nie wnikając w szczegóły, niedawna zmiana ustroju naszego państwa, to przecież decyzja globalistów, a mniej rodzimych konspiratorów. Tak było również w 1918 roku i w latach 40. ubiegłego wieku. I w tym kontekście należałoby analizować dzisiejszy ustrojowy status kraju. Był to złożony proces symbiozy oddolnych narodowych inspiracji z interesami globalistów, tych, którzy przed laty zafundowali nam nowy status, z którym ochoczo się rozstaliśmy. Okazuje się, że dzisiaj rządzących nie opuszczają myśli o deformowaniu tego, czego jesteśmy właścicielami. Destrukcyjne dla solidności państwa skłonności zajmują poczesne miejsce w ośrodkach władzy, lecz powtórka z dziejów, to nigdy dosłowność.
W każdej rozterce alternatywą jest zawiśnięcie na nieboskłonie realizmu, a to unikatowy kunszt.

**Władza…**

…wolą elektoratu stoi, lecz jej wdzięczność wobec pracodawcy, tj. wyborcy w mgnieniu trafia w krainę iluzji. Są przebłyski serdeczności ze strony wybrańców, ale to zaledwie gesty finezyjnie przez nich skalkulowane. Przykładów wiele, jak chociażby te o złotówkowych plusach wybiórczo fundowanych przez rządzących ze składek podatników. Inni niecierpliwie oczekują na swoją gratyfikacyjną kolej, ale wydaje się, że jej ziszczenie nastąpi wówczas, kiedy władca dostrzeże

w tym swój polityczny interes. Sobkostwo też jest ludzką cechą, ale na szczytach władzy winna być miarkowana, chociażby z racji szacunku dla demokratycznej formuły ustalania zwycięzców. Wybór władzy, to nie nadanie uprawnień prywatnemu absolutowi, lecz zobowiązanie do wzmacniania bezpieczeństwa obywateli i kraju. Bycie zarządcą państwa jest chwilową zaszłością, która winna korespondować z obywatelską zwyczajnością. Warto więc być przyzwoitym w duchu uczciwości wobec otoczenia. Myśl Wł. Bartoszewskiego (1922-2015) jest przeraźliwie aktualna. W politycznej algebrze opłacalność to skomplikowany rachunek. Solidny polityk winien się poruszać wedle busoli wskazującej na dobro wspólne, bo inaczej po co twarz, jeśli patrzy się na ręce, a to kolejne spostrzeżenie autora wcześniejszej konstatacji.
Smutkiem napawa to, że rządzący nie korzystają z bogactwa darmowej skarbnicy obywatelskich sugestii. Zapatrzenie się tzw. mężów stanu w czubek własnego nosa, bo taki jest obskurancki nakaz Nowogrodzkiej, jawi się nieroztropną wizją dla pomyślności kraju, który od wieków tęskni za powszechną godnością. Aby temu podołać potrzebny jest charyzmatyczny mediator zarówno w wewnętrznych, jak i międzynarodowych kwestiach. Król jest jeden, a jego elekcja, to wola elektorskich głosów, które w bieżącej interpretacji rozterkami błyszczą. Ogół w intencjach jest za racjonalnymi zmianami, lecz ambicjonalne mrowienie wyklucza jedność. Źle to wieszczy, ale mieści się w swojskiej nucie.

* * *

Władza zachowuje się tak, jakby to ona ustanowiła państwo w ustrojowej formule i w obecnych granicach. Historia nie zawsze była dla nas łaskawa, to prawda, ale czy dzisiaj musimy z nierozważnym uporem celować w jej niechlubne arkany? Odpowiedź na to pytanie jest ważką sprawą dla bytu Rzeczpospolitej. Rzecz w tym, aby poprawnie i w konsensusie odczytywać globalne znaki, asymilując je z korzystną formułą rozbrajającą wewnętrzne problemy. To domena fachowców, a nie przypadkowych politykierów wyznaczonych wedle samolubnych kryteriów do zarządzania resortami. Partyjne nominacje i degradacje to jedno, ale fachowość kadr jest sprawą nadrzędną. Obecna mutacja personalnych decyzji temu zaprzecza. Powróciło kryterium doboru kadr: dobry, bo partyjny. Potępiać tego wymysłu ad hoc nie można, bo wśród partyjnych nominatów, tak kiedyś, jak i dzisiaj także byli i są fachowcy, ale samo kryterium wyłaniania tych, co mają zarządzać segmentami RP jest niepokojące. Konstrukcyjne detale przesądzają o randze państwa, a nie partyjniactwo. Ta oczywistość ważąca na sukcesie jest ignorowana.
Apele o powtórkę dawnego powszechnego solidarnościowego ruchu brzmią zachęcająco, ale ich akomodacja już na wstępie iluzją tchnie, chociażby z tej przyczyny, że tamten ruch był spontanicznie oddolny i skierowany ku innym celom, a ten współczesny, też liczebnie niemały jest wypryskiem niezgody szatkującej społeczeństwo. Dla scalenia tych części nie starczą umiejętności krawca, a nawet spawalniczego mistrza. Problem zasadza się w umysłach rodaków. Nie jest tak, że politycy są wyroczniami w drodze prowadzącej RP do świetności, a lud ma tylko im przyklaskiwać. Wydaje się, że z tego nie zdają sobie sprawy rodzimi politykierzy.
Z drugiej strony w ich opiniach na różne tematy coraz częściej jednoznaczność jest przytłumiana ostrożnymi refleksjami balansującymi na partyjnej linii, co bliskie optymizmowi. Ale gwałtowne odczepienie się od niej, to polityczna degradacja i rozbrat z apanażami. Bojaźliwych w rządzącej formacji jest nadmiar, a mamona zaś silnym argumentem, aby trwać w okolicach władzy nawet kosztem gwałcenia społecznych oczekiwań i własnego honoru.

Przyszłość obywatelskiego ruchu po prezydenckich wyborach tkwi w indywidualnym poczuciu solidarności z innymi w dobrej sprawie, a nie w ujarzmianiu partii politycznych pod jednym sztandarem. Są szanse na pozapartyjny obywatelski ruch na rzecz dobra Polski pod warunkiem, że będzie wspierany przez różne polityczne frakcje. Ponad 10. milionowy kapitał głosów oddanych przeciwko prawej i sprawiedliwej partii i dotąd nienotowana liczba wyborczych protestów, jakie wpłynęły do Sądu Najwyższego, to wielka i zarazem niepokojąca rzecz, będąca wyzwaniem do roztropnego zagospodarowania tego społecznego kapitału. Dotychczasowe próby mają niewiele karatów kruszcu, ale optymizmu sporo, jako przeciwwagi do destrukcyjnych animozji, bo parafrazując sentencję Stefana Żeromskiego (1864-1925) wychodzi na to, że Rzeczpospolita nie jest ani moja, ani Twoja, ale jeno nasza święta. Szkoda, że rodzima literatura tylko przygodnie uzyskuje obywatelskie prawa, a w swej intelektualnej potędze mogłaby równie dobrze ograniczać budowę bastionów niezgody.

***Janina Łagoda***